NUMER 1. DNIA 3. STYCZNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z warstatów sztuki stosowanej.

I.



Jeszcze niewiele, bo zaledwie kilkanaście lat temu, rzemiosła nasze, te które to zaspokajają codzienne zapotrzebowanie mieszkańców naszych miast i miasteczek, pogrążone były w grubej drzemce. O ile ktoś czegoś potrzebował, czy to umeblowania, czy tapicerskich, czy też bronzowniczych robót, nie kupował sobie tych rzeczy na wiedeńskiej tandecie, lecz kazał je sobie robić, otrzymywał rzeczy albo w jednym ze starych stylów, albo wzorowane na wiedeńskiej tandecie, tylko solidniej zrobione. Gdzie przyszedłeś, zastawałeś zawsze te same jadalnie, sypialnie i saloniki o kilku szablonowych typach mebli, niegustowne obicia i dywany, wiecznie te same lampy i świeczniki, niedobrane, banalne. Dopiero ostatnie czasy sprowadziły zmiany w tym kierunku.

Impuls wyszedł z zagranicy, a głównie z Anglji, gdzie do walki ze starym szablonem stanął Ruskin, człowiek obdarzony zarówno wysubtelnionem poczuciem artystycznem, jak wykształceniem. Był to ideolog, który w ucieczce od powszechnie panującej szarzyzny, zabiegł zbyt daleko w przeszłość i zamknąwszy się w prerafaelickiej pustelni, chciał negować bezwzględnie wszystko, co potem zrobiła i nabyła sztuka. Ale że intencje jego były szczere, że posiadał siłę swoich jednostronnych przekonań i potrafił z zażartością i polotem fanatyka propagować te swoje przekonania, więc zdobył niebawem potężny zastęp współpracowników. W pierwszej linji byli to malarze angielscy, znani pod nazwą prerafaelitów, którzy idąc za wskazówkami Ruskina, stworzyli nową szkołę w malarstwie i roznieśli po świecie obok swoich, także sławę imienia Ruskina, jako swego przewodnika duchowego. Stawszy się raz powagą, nie omieszkał Ruskin korzystać z tego w dalszym ciągu, tj. wprowadzać swoje ideały estetyczne w coraz szersze dziedziny życia, a wciągnąwszy za sobą artystów i dawszy kilka przykładów konkretnych, jak sobie to wyobraża, uczynił pierwszy wielki wyłom w dotychczasowym szablonie.

W pomoc Ruskinowi przyszedł niebawem skądinąd potężny sojusznik, a była nim niemiecka secesja. I ona wyszła z kół t. zw. czysto artystycznych; kilku młodych samoistnie tworzących malarzy, których dzieł krytyka urzędowa przyjąć nie chciała na wystawę, urządziło secesję i jęło propagować sztukę nową, wolną od powijaków akademickich. To zerwanie z szablonem w sztuce poprowadziło zarazem do zerwania także tam, gdzie ona może być zastosowana. Za hasłem Anglików wzięli się także niemieccy artyści do uszlachetniania form i przyozdabiania przedmiotów codziennego użytku. Ponieważ zaś w Anglji prerafaelici już dużo byli zrobili i siłą rzeczy ich postulaty estetyczne najsilniej zaważyć musiały na szali, więc zwolna na cały świat jęły się przedostawać ich ideały, a więc stylizowanie linji form i ozdób, spokojne wydłużanie ich, łagodne tonowanie w kolorze, to wszystko, co mutatis mutandis dało się zastosować z naśladowania dzieł malarzy z przed Rafaela. I tak z dodaniem techniki dekoracyjnej Japończyków powstało to, co zazwyczaj kryje się pod niejasną nazwą secesji, pojmowanej jako styl.

Styl ten jednak nie jest główną zasługą secesji; jest nią zerwanie z szablonem, wyswobodzenie

twórczości do tego, żeby nowe formy dla nowych potrzeb stwarzała. Styl w początkach jest tylko przejściowym choć konkretnym refleksem zapatrywań na formę jednego człowieka, który te zapatrywania drugim potrafił narzucić. Ale gdy się to wnet wyczerpało, życie jęło dalej wyzyskiwać reformę na swój sposób. Zaczęto się oglądać za dalszym materjałem i secesja zwolna z angielskiej stała się bezkierunkowem poszukiwaniem nowych form, a impulsem głównym stała się tendencja wymyślania rzeczy niebywałych. Co za najrozmaitszego, dziwnego często nabożeństwa powstawały budowle i przedmioty codziennego użytku dość popatrzeć do fachowych czasopism współczesnych, aby się o tej bezkierunkowości przekonać.

Dopiero najnowsze skonsolidowanie się narodowości i rozwój nauk folklorystycznych pchnęły twórczość w sztuce stosowanej na nowe tory. Przypominano sobie słowa rzucone przez Ruskina, który aczkolwiek zahypnotyzowany prerafaelizmem, miał ten dobry zmysł artystyczny, który nakazuje szukać form w najbliższem swojem otoczeniu i nakazywał to artystom. Zapanowało hasło szukania motywów we własnym rodzimym dorobku przeszłości i sztuka stosowana poszła na tory narodowe.

U nas głównym i najpotężniejszym rzecznikiem sztuki stosowanej opartej na narodowych motywach stał się Stanisław Witkiewicz. I on podobnie jak Ruskin donośność głosu zdobył sobie jako krytyk, kiedy z bezwzględnością i nadzwyczajną swadą obalił warszawskie powagi krytyczne i wyrzucił ze sztuki bezduszne ich postulaty. Ale podczas gdy Ruskin jako teoretyk musiał się w stosowaniu swoich ideałów do życia opierać się na konkretach formułowanych przecież przez innych, przyczem zupełne ich ucielesnienie nie było możliwem, Witkiewicz sam jako dzielny malarz potrafił na przykładach skonstruowanych przez siebie wytknąć drogę sztuce narodowej. Znalazłszy w Matlakowskim bogaty materjał do studjów nad budownictwem i zdobnictwem drzewnem ludu tatrzańskiego, uzupełnił je tem co naocznie widział, mieszkając stale w Zakopanem i stworzył z tego podstawę do rodzimego stylu polskiego. Kilka projektów wil, w stylu zakopiańskim, całe szeregi modeli urządzeń wewnętrznych pouczyło świat polski, jakie piękne rzeczy można mieć, nie sięgając po obce, nic do nas niemówiące wzory.

I tak powstał styl zakopiański, który znalazł potem obok Witkiewicza mniej lub więcej szczęśliwych propagatorów jak p. Feliks Jasieński, dr. Eljasz Radzikowski, Brzega i wielu innych. Przez nich przedostało się to często we formie zażartych sporów (np. z Kowatsem) do publiczności, która zapoznawszy się z przydatnością i pięknem rodzimego stylu, jęła wymagać od rzemieślników swojskości. Dzięki temu mamy już dziś zwłaszcza w młodszej generacji majstrów ludzi, którzy nietylko naśladują gotowe wzory, ale samoistnie poczynają pracować nad zastosowywaniem swoich wyrobów do wzrastających z dnia na dzień potrzeb i wymogów artystycznych podkształconej już nieco publiczności.

We Lwowie jest takich może kilkudziesięciu. Pracowniami kilku lub kilkunastu z nich zajmiemy się po kolei wedle rzemiosł.

St. Womela.

JAN ŚWIERK.

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

I.

Żegnaj, moja wiosko!...

Zdaje mi się, iż rozstając się z tobą — rozstaję się z całym światem mych uczuć i moich wspomnień.

Ale nie rozstaję się z marzeniami memi.

One to wiodą mię z zacisznej chaty w daleki świat, one mię unoszą do życia nowego...

Żegnaj, moja wiosko i chato rodzinna!!...

Za wszystkiem mi żal, a jednak chcę jechać. Ojczulek jeden rozumie dlaczego, więcej nikt. Mama ręce łamie z rozpaczy, iż wymykam się z pod jej opieki, dzieci patrzą na mnie z niechęcią...

— Zachciało jej się miasta; widzicie!... — mruczy ciotka Salusia, — już i jej przewraca się w głowie, a wszystko to na gorsze.

— Mateczko!... wrócę za cztery lata... tak będzie dobrze wtedy, tak miło, takie wielkie życie pracy stanie przedemną...

Ale mateczka nie rozumie mnie...

Jadę sama, jutro rano... a co na to kiwania głowami, co ruszania ramionami, co przepowiedni wydarzeń rozmaitych!... Z dalekiej wsi dostać się do miasta, zdaje się ludziskom, iż to tyle, co przez ocean do Ameryki...

Słońce zaszło. Moje kwiaty w ogródku poczynają wilgotnieć od rosy — topole, wzdłuż drogi stojące ciemnieją — cisza dokoła.

Czy mi żal jechać stąd?

Ja chcę pracować, pracować, pracować...

Żegnajcie mi!

Dwa dni już jestem w mieście.

Ciocia Frania dobra jest, przywitała mię serdecznie i przytuliła do siebie... Wygląda bardzo zmęczona, zdaje się, nie używa przechadzek.

Wszystko tu dla mnie nieznane, dziwne, niezrozumiałe, jestem ciągle zachwycona, rozgorączkowana.

— Jakto? moje dziecko, mówi ciocia Frania dziś rano, chcesz zdawać wstępny egzamin do seminarjum, a nie masz żadnej protekcji?

— Protekcji? Wszak ja się uczyłam, bardzo pilnie uczyłam się, ojczulek ze mną pracował tyle lat...

— Wierzę ci, iż jesteś przygotowana, bo znam szwagra, jako bardzo wykształconego nauczyciela, ale mimo to — protekcję mieć musisz...

— Pocóż?... wszak będziemy zdawały egzamina...

Ciocia roześmiała się w głos.

— Ty nie wiesz, co to znaczy dostać się do seminarjum: zgłosi się do egzaminu 200, a przyjmą tylko 40...

Struchlałam! — Tak ostro pytają przy egzaminach? Tyle wymagają?

— Nie zupełnie od tego zależy przyjęcie, ale od protekcji, więc jeśli ojciec twój nie postarał się przez inspektora, przez dyrektorów znajomych o listy dla ciebie, ja nie wiem, co będzie.

W tej chwili ktoś zadzwonił.

Weszły dwie damy strojne i śmiejące się, ciocia pobiegła, by je przyjąć, ja w drugim pokoju zostałam sama.

Dziwnie mię jakiś niepokój począł męczyć... A może ja istotnie źle przygotowaną jestem, może nie dorównam innym współkoleżankom, może nie przyjmą... To byłoby straszne!... Co bym ja wtedy zrobiła? Wracać do domu? Piękna historja Wszyscyby wyśmieli mię, ogadali, palcami by wytykali... I tak już mnie tam nie lubiano, zawsze nazywano „uczoną“, gdy przez trzy lata siedziałam przy książkach i nie bawiłam się, jak Kazia leśniczego, ani te dwie córki księdza ruskiego, które tylko z praźniku na praźnik i z jarmarku na jarmark.

Wszystkie szykany i wydrwiwania stają mi przed myślą...

Zdaje mi się, jestem zmiażdżona. A co z marzeniami owej pracy dla ludu?...

Jak to ciocia umie zmieniać głos, ton, wyraz twarzy!... Kiedy widzę ją, pochyloną przy pracy, gdy rozdaje roboty pannom, gdy kłopoce się z żydóweczkami, ze sklepu przychodzącemi, zdaje mi się bardzo biedna ta moja ciocia. Ale gdy panie wejdą do salonu, ciocia umie rozmawiać wesoło, swobodnie, uśmiecha się, jakby nigdy troski nie miała.

Co za śliczna materja!... Ta pani, która cioci daje suknię do roboty, wspaniale będzie wyglądała w takim stroju... Jak żyję nie widziałam podobnie pięknej materji!...

Dziś już byłam w seminarjum...

I cieszę się i trwożę... sama nie wiem, co się ze mną dzieje...

Egzamina rozpoczną się jutro...

Na kurytarzach pełno było panien. Wszystkie wesołe, strojne, śmiejące się... pewne siebie, przechodzącego dyrektora witały, jak znajomego, żartowały...

Zaledwie kilka było takich, jak ja, nieśmiałych, i nie znanych nikomu... stałyśmy, jak nieszczęśliwe sieroty...

Ja wcisnęłam się w framugę okna, nie śmiejąc się zbliżyć do której z panien, tak patrzyły na mnie zgóry i nawet zdaje mi się, uśmiechały się... złośliwie.

Wtem słyszę rozmowę kilku panien.

— Oddałaś list?

— Wujaszek jeszcze wczoraj odniósł...

— A ty do kogo masz bilety?...

— Do dyrektora, katechety, do Mrozka i do Słupa... ale najważniejszy od radcy Żaby.

— No! pewnie, jeśli taki radca pisze, to cię przyjmą...

— A tobie dyrektor obiecał?...

Roześmiała się pytana...

— Dobraś sobie... Dyrektor zna szwagra mego, szwagier mu puścił syna przy maturze teraz przed wakacjami... choć osioł był...

Wymknęłam się z kąta, nie chcąc podsłuchiwał tajemnic, a stanąwszy po drugiej stronie kurytarza,

czekam na to, ażeby w tłumie biegających panien znaleść jaką samotną, aby zbliżyć się i zapytać o niektóre rzeczy...

Tu słyszę znów:

— Już jedenaście biletów mama zaniosła, a jeszcze boję się, dzisiaj wujko będzie rozmawiać z profesorami...

— Wiesz, co powiedział katecheta memu bratu?... Już ma nie mniej ni więcej tylko 60 biletów, a jeszcze egzamin się nie rozpoczął...

Czułam, iż muszę być blada, jak trup, gdym schodziła z piętra...

Wobec tego, com słyszała, niema nawet co siadać do egzaminu wstępnego, niema nawet co płacić taksy i mozolić się darmo...

Przyszłam do cioci z płaczem.

— Co się stało?...

— Wszystkie mają protekcje, bilety, listy, radcowie proszą za niemi, kuzynowie chodzą, z dyrektorem się znają, a ja cóż zrobię!...

Wybuchnęłam płaczem i rzuciłam się na sofkę...

Po co jechałam do miasta? Po co rwałam się do pracy? Po co?...

Biedna moja ciocia... Roboty ma pilne, kilka sukien czeka wykończenia, musi je ciocia przed pierwszym posłać, bo nie będzie miała czem na pierwszego panien zapłacić, a tu przezemnie musi chodzić po znajomych i o protekcję prosić...

Mówi ciocia, iż jestem dzika i prawdziwa wieśniaczka, gdy wstydzę się prosić o protekcję, że bez tego nic nie zrobię i do seminarjum się nie dostanę, a ja uparta jestem, jak kozioł i chodzić nie chcę i prosić nie chcę... Poczciwa więc ciocia chodzi od znajomych do znajomych i już trzy bilety do dyrektora, a jeden do Słupa przyniosła...

Tak mię wszystkie te przejścia zgniotły i umartwiły, iż zdaje mi się, co umiałam, zapomniałam... Już wiem, że egzaminu nie zdam, że nie będę do seminarjum przyjęta, że wrócę do mojej wioski i — i... czy też wiem, co pocznę?...

Jezus Marja!... co się ze mną dzieje!... Mam iść dziś do egzaminu... calusieńką noc oka nie zmrużyłam, nie uspokoiłam swej trwogi i niepokoju, nie powtórzyłam ani jednego przedmiotu.

Przed samą kolacją przyszedł do cioci kupiec jeden, znajomy wujcia. Gdy mu przedstawiono mię i powiedziano, po co przyjechałam do miasta, zaczął wygadywać straszne rzeczy, aż włosy na głowie stawały.

Mówił, że biorą do seminarjum tylko panny bogate, córki radców, radnych, dyrektorów, wielkich figur, a córki rzemieślnika, biednego djurnisty albo nauczyciela ze wsi nie przyjmą. Mówił, że ten cały egzamin to tylko udawanie, aby się pozbyć, a oni już naprzód wiedzą, które będą przyjęte.

Wujcio też zaczął ze swojej strony dodawać rozmaite wyjaśnienia: — że córki radców, dyrektorów i innych panów cisną się do seminarjum nie po to, aby potem pracować nad ludem, tylko aby pozować na osoby wykształcone, że dyrekcji wcale o to nie idzie, czy te, które chodzą do seminarjum, będą nauczycielkami, byle były panny strojne w klasie i koniec.

Ja siedziałam przy stole, jak na mękach. Nie wiedziałam, co z sobą począć. Zdawało mi się, że całe miasto tylko na to sprzysięgło się, aby mię zrazić do nauki, aby mię ztąd jak najprędzej oddalić, abym tu nie zawadzała...

Wujcio Olski dziwny człek. O wszystkiem wyraża się złośliwie, o każdym powie dwuznacznie, a sam — —

Ale cóż ja mogę sądzić o nim...

Zbieram się do egzaminu, wkładam moją nową sukienkę... Wstąpię jeszcze do kościoła...

Boże! Boże!... dopomóż mi!

Dwa dni trwa egzamin, a jeszcze nie skończony. Przy mnie siedzi z jednej strony taka jakaś biedna, jak ja, ze wsi córka ekonoma, z drugiej strony siedzą dwie panny wystrojone, wyfryzowane, ciągle gryzą cukierki i śmieją się.

Blondynka, z dużym warkoczem na plecach, odpowiadała dziś najgorzej, nie umiała napisać ułamków dziesiętnych. Ja byłam pytana z kilku przedmiotów, odpowiadałam z początku nieśmiało, ale potem głośniej. Kazia, ta córka ekonoma, mówi, że odpowiadam bardzo dobrze. Ona biedna na drogę do miasta pożyczyła u organisty pieniędzy, dzieci tam coś ośmioro w domu, chciałaby potem pomagać rodzinie.

Jutro przeczytają nam, które zdały i będą przyjęte.

Wuj Olski dziś przy obiedzie znowu wygadywał straszne rzeczy. Mówił, że gdyby chcieli, mogliby przyjąć i 200 panienek, zrobić cztery klasy równorzędne, ale rząd nie chce mieć tyle nauczycielek, woli, aby po wsiach stały szkółki pozamykane, aby dzieci się nie uczyły. Ciocia Frania mrugała na wujcia, uważałam to dobrze, zdaje się chciała, aby nie mówił takich rzeczy, ale wuj na to ostro:

— Co chcesz? Myślisz, że dziewczynie się oczy nie otworzą? nie pozna co jest? Ze wsi przyjechała i mało co wie, tutaj nauczy się wiele prawdy.

Chciałam powiedzieć, iż nauczyłam się już istotnie wiele, ale zakąsiłam usta.

Siostrzeniec wujka, jakiś akademik, czy co, bo nie wiem jeszcze czem jest, ale zawsze tu na kolacje i obiady przychodzi, odzywa się też:

— Oni nie tylko nie przyjmują do szkół tych, którzy się uczyć pragną, ale i wyrzucają z klas tych, którzy im trochę zawadzają. Najlepszego ucznia potrafią spalić przy końcu roku na głupiej botanice albo geometrji dlatego tylko, aby mu przeszkodzić w nauce, bo po cóż tylu „oświeconych", kiedy może być więcej „ciemnych". Wszakże mego kolegę, pamięta go wuj? tego Kubusia, co ze mną nieraz przychodził, zdolny, bystry, poczciwa dusza... spalili na zoologji, za jakieś pytania o pająku czy pijawce... i szkół nie skończył.

Czemu ci ludzie tak mię straszą? Jeszcze od kiedy przyjechałam tu, nie usłyszałam jednego słowa nadziei i otuchy, a ciągle i zawsze straszne rzeczy. (C. d. n.)

Wiliam Ewart Gladstone

według Morley'a.

(Life of W. E. Gladstone. 1903 — 3 tomy.)



I.

Trzy tomy, które John Morley poświęca życiu i czynom Gladstone'a, są jednocześnie Iliadą wolności zwycięskiej oraz Odysseą tego przedziwnego męża, który z labiryntu wstecznictwa nietylko sam siebie wydobył na jasne drogi liberalizmu politycznego, ale nadto umiał w przeciągu niemal pół wieku, prowadzić za sobą naród do bezustannego udoskonalania swych urządzeń polityczno-społecznych. Jest to bowiem jedną z charakterystycznych stron Gladstone'a, iż rzadko odważał się podnieść rękę na urządzenia krajowe, nawet te, których byt za nieodpowiedni wymogom czasu uważał. Wychowany w kulcie dla powag i władzy, zarówno moralnej jak i państwowej, Gladstone tylko wtedy imał się pracy burzącej i przetwarzającej, gdy widział sprzeczność, zachodzącą między maszynerją państwowo-społeczną, a sumieniem obywatelskiem, łaknącem sprawiedliwości. Otóż u podstaw życia społecznego, winna była być według Gladstone'a sprawiedliwość, a wszystkie urządzenia społeczne, dzieło rąk ludzkich, tej to boskiej, objawionej i religijnie świętej zasadzie służyć muszą. Niesprawiedliwość — zdaniem Gladston'a — naruszała zasadę chrześciańskiej moralności, zasadę z góry podyktowaną jako podmurze współżycia ludzi. Wszystkie zatem urządzenia polityczno-społeczne, winne były oprzeć się na tej zasadzie, bo z jej naruszeniem ruina groziła ułomnemu dziełu ludzkiemu. Godząc więc kult dla autorytetu z żądzą sprawiedliwości, Gladstone dążył do „wyrabiania urządzeń krajowych" — jak się sam wyraził — według zasad moralności objawionej.

Te dzieje „wyrabiania" urządzeń angielskich, wyrabiania, dodajmy, na zasadach wolności i sprawiedliwości, skreślił obecnie John Morley. Była to praca nielada, bo imię i czyny Gladstone'a splotły się z półwiekowemi dziejami Anglji. Przed Morley'em był stos olbrzymi dokumentów: kilkaset ksiąg pamiątkowych w rękopisie i przeszło 300.000 listów czekało na skrutatora życia wielkiego męża. W liczbie tych dokumentów była księga protokołów z posiedzeń rządowych i Morley musiał udać się do królowej Wiktorji z prośbą o „łaskawe" pozwolenie zużytkowania materjału z archiwów państwowych. Zmarła królowa pozwolenia swego nie odmówiła, ale wyraziła nadzieję, że Morley materjału tego nie wyzyska w celach partyjnych! Cele partyjne! Ale czyż to nie cele partyjne zastępowały drogę polityce reformy? Czyż to nie cele partyjne zwalczać musiała polityka postępu? I czyż to nie były cele partyjne, które królowę nieraz do uporczywej przeciw Gladstone'owi opozycji pchały?

Ale Morley przezwyciężył wszystkie trudności, przezwyciężył ogrom pracy, przezwyciężył szkopuły królowej i wrzekome „cele partyjne". Morley przezwyciężył nawet sprzeczność duchową, jaka dzieliła go od uwielbianego przezeń Gladstone'a, którego pamięć dziś tak uroczyście i wspaniale święci.

Nie trzeba się dziwić temu, bo w Morley'u, piewcy czynów gladstonowych, mamy człowieka nielada. Jako charakter — jest on kryształem wody przenajczystszej, — jako pisarz jest on nietylko li-

teratem skończonym, jednym z tych, którzy najlepiej władają piórem w Anglji, ale przedewszystkiem pisarzem myśli wyswabadzającej się, pisarzem, który książkę za miecz uważa, jakim tylko rycerze w obronie prawdy i sprawy dobrej wojować winni.

Morley zabrał się więc do życiorysu Gladstone'a z tem przekonaniem, że idzie tu o wystawienie pomnika nietylko człowiekowi, ale zasadzie i to zasadzie wolności zwycięskiej. Z Gladstonem łączyły Morley'a węzły wspólnej dla społeczeństwa służby: Morley był członkiem ostatnich gabinetów Gladstone'a. Był on swemu mistrzowi towarzyszem broni pełnym wierności, bo Morley w służbie publicznej, służenie sprawie krajowej i wolności widział. I dlatego, że Gladstone szedł zawsze naprzód, szedł śmiało i nie cofał się przed otumanioną opinją publiczną, Morley czcił swego wodza jako chorążego wspólnego im obu sztandaru, pomimo głębokiej różnicy, jaka dzieliła Gladstone'a od Morley'a pod względem wychowania, wierzeń i ogólnego na świat poglądu.

Morley bowiem jest agnostykiem, uczniem tej lewicy bentamistów angielskich, do których należał Mill, Spencer, Buckle i tylu innych świeczników współczesnej nauki angielskiej. Gladstone przeciwnie był zawsze oddany rozmyślaniom teologicznym, był zawsze anglikaninem i zwolennikiem nietylko religijności i kościoła państwowego, ale nawet takiego hierarchicznie zorganizowanego kościoła uniwersalnego, który by był podstawą moralną całokształtu życia społecznego. Była więc wielka sprzeczność między tymi dwoma ludźmi, którzy znaleźli się razem u steru nawy krajowej. Ale Morley nie ma uprzedzenia do wierzeń Gladstone'a, bo dla Morley'a, pragnącego swobody jednostki, znika różnica w wierzeniach z chwilą, w której Gladstone sam zasadę tolerancji jako myśl przewodnią ogłasza w stosunku do wszelkich innych światopoglądów, a tę zasadę tolerancji uważa za konieczny i nieubłagany wynik podstawowej zasady wszelkiego życia społecznego, zasady sprawiedliwości.

Tyle o Morley'u. Teraz przejdźmy do Gladstone'a w jego „myślach i czynach“. Chcemy przedewszystkiem wytłómaczyć, w jaki sposób Gladstone, skrajny anglikanin, którego nawet klerykali za „zbyt daleko“ idącego uważali, — Gladstone, który i w polityce od przekonań zupełnie wstecznych zaczął, w następstwie gorącym rzecznikiem tolerancji się stał i wodzem radykalizmu politycznego okrzykniętym został. Morley pomija stronę religijną: postaramy się zatem sami skreślić obraz wierzeń Gladstone'a, którego markiz Salisbury, zachowawczy przeciwnik wodza liberalnego, nazwał „największym żyjącym chrześcianinem“. *Sygma.*



Co i jak czytać?

Dr. W. M. Kozłowski, autor książki pod powyżej wymienionym tytułem, ogłasza w „Przeglądzie filozoficznym“ list otwarty, w którym przyrzeka swą pomoc wszystkim, pracującym samodzielnie nad wykształceniem własnem.

„Zmuszony opuścić kraj i przenieść się do uniwersytetu genewskiego — pisze dr. Kozłowski — nie myślę bynajmniej zrzekać się dalszej pracy nad usystematyzowaniem i rozwojem wykształcenia drogą czytelnictwa, rozpoczętej przez „Co i jak czytać?,“ a prowadzonej dalej w ciągu trzech z górą lat przez „Pogląd na świat“.

„Zniewolony do zwinięcia wydawnictwa tego z końcem roku 1902 wskutek zamierzonego wyjazdu, mam wszakże nadzieję, w innej formie, skuteczniejszej może, rozwijać rozpoczętą w kraju pracę, a mianowicie drogą seminarjów specjalnych dla młodzieży polskiej w Genewie, gdzie, obok ściśle filozoficznych, zagadnienia wykształcenia własnego, wyrobienia poglądu na świat i na zadania życiowe roztrząsane będą w żywej dyskusji i przy współudziale całego grona osób, bliżej w tej czynności zainteresowanych i jej oddanych. Owocami tej pracy wspólnej będę się starał tak lub inaczej dzielić się z dawnymi czytelnikami „Poglądu na świat“, oraz ze wszystkimi tymi, którzy pragną poważnie i samodzielnie pracować nad wykształceniem własnem. Wszystkich więc, odpowiadających tym warunkom, proszę o łaskawe zwracanie się listowne pod niżej załączonym adresem z wszelkiemi zapytaniami i wątpliwościami, jakie na drodze owej spotykają.

„Dla zmniejszenia korespondencji byłoby wielce pożądanem, aby grupy, tworzące się dla czytelnictwa wspólnego (jak np. wśród młodzieży przy uniwersytetach zagranicznych) wybierały jednego korespondenta, któryby nadsyłał, zebrawszy je, zapytania

pojedynczych członków i do którego wszystkie odpowiedzi przesyłałyby się w jednym liście.

„Nadmienię przy tej sposobności, że i wydawnictwo podręczników, tak niezbędnych do samokształcenia się, rozpoczęte pod tytułem „Bibljoteka samouków“ *) przy „Poglądzie na świat“, wychodzi w dalszym ciągu i pod tą samą redakcją i nakładem M. Arcta w Warszawie pod tytułem „Podstawy wykształcenia współczesnego“. Obecnie pod prasą lub w przygotowaniu znajdują się następujące tomy:

P. Chmielowski: Krytyczno-porównawczy przegląd dziejów piśmiennictwa polskiego.

M. W. Kozłowski: Historja filozofji.

*) Tom I. Klasyfikacja umiejętności dla potrzeb wykształcenia ogólnego. Kraków 1901.

Freeman: Dzieje Europy.

Creighton: Historja Rzymu.

Gibbins: Historja przemysłowa Anglji.

Freeman: Instytucje państwowe greków, rzymian i germanów w zestawieniu porównawczem.

„Dziękując wszystkim przyjaciołom „Poglądu na świat“ za okazaną temu wydawnictwu życzliwość i za liczne wyrazy żalu nad jego przerwaniem, mam nadzieję, że zechcą nadal utrzymać stosunki życzliwe z jego wydawcą i pracować wspólnie nad doniosłem zadaniem wykształcenia ogólnego. Docendo discimus.

W. M. Kozłowski.

Adres: Monsieur W. M. Kozłowski, Agregé à l'Université, Genève, Suisse.“



Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

O KSIĄŻKI. *Farnik Ernest Dr.* O poezji ludowej na Śląsku cieszyńskim. Cieszyn. 1904. 8-ka wielka; str. 36.

Jak nisko stoi u nas jeszcze etnografja, o tem najlepiej można przekonać się z omawianej pracy. Dr. Farnik, przystępując do pisania swojej rozprawki, mógł korzystać zaledwo z dwu źródeł: z drukowanego zbioru śląskich pieśni ludowych ś. p. Dra A. Cienciały i rękopiśmiennego ś. p. J. Londzina, z tej prostej przyczyny, że oprócz tych dwu innych zbiorów nie mamy. Zaprawdę — Afryka jest chyba lepiej zbadana pod względem etnograficznym od Śląska cieszyńskiego! A przecież na Śląsku jest tylu nauczycieli ludowych, zdolnych do badań folklorystycznych, i miejsca na publikowanie surowego materjału także dosyć. Oby te słowa znalazły życzliwy posłuch, a ci, którzy je spełnią, znajdą bez wątpienia zadowolenie z wykonanego obowiązku.

Mimo szczupłego materjału, z jakiego dr. Farnik mógł korzystać — trzeba wyznać — praca jego jest możliwie gruntowna i wyczerpująca, pisana przytem gładko, z wielkiem umiłowaniem przedmiotu. Część jej pierwsza mówi o piosnkach ludowych w ogólności. Omawia tedy autor różne rodzaje pieśni miłosnych (włączając bezpodstawnie do nich znaną pieśń o liljach, o zamordowanej pannie i o siostrze, która brata otruła, — wszak one należą do rzędu tak nielicznych w poezji ludowej ballad), kreśląc rozwój uczuć w różnych stadjach i okolicznościach, poczem przechodzi do obszernego omówienia pieśni weselnych, potrącając przytem często o zwyczaje ludowe, połączone z aktem zaślubin, a w dalszym ciągu tych, które opiewają stan małżeński, a raczej przykrość i nieszczęście w niem doznane, piosnek żołnierskich i pasterskich (te ostatnie nadzwyczaj ciekawe z powodu zachodzącego w nich „helokania“, czegoś w rodzaju tyrolskiego „jodlera“). W końcu omawia dr. Farnik pieśń epiczną z życia komarów, istną satyrę na stosunki i zdarzenia ludzkie. Z przytoczonych urywków nie mogłem nabrać przekonania, ażeby ona była utworem fantazji ludowej. Sądzę, że ona jest utworem człowieka, który znał lud doskonale, ale już z niego wyszedł, może jakiego nauczyciela wiejskiego. Jej rozpowszechnienie nie może być jakimkolwiek dowodem, wskazującym na pochodzenie ludowe. Wiadomo, że rzecz taka, jak „Laura i Filon“ Karpińskiego, rozpowszechniła się szeroko wśród ludu na całym obszarze ziem polskich.

Część druga omawianej pracy zajmuje się poetami ludowymi: Adamem Sikorą i Janem Kubiszem, oraz poetami okolicznościowymi. Tutaj właśnie byłoby najodpowiedniejsze miejsce dla „Komareidy“.

Wogóle — cała ta praca jest napisana bardzo sumiennie. Jeden mam tylko zarzut, zarzut dotyczący błędów językowych, jakie w niej znalazłem. Dla przykładu wymienię kilka: „poddawają“ = poddają, „że jej m i a ł nie będzie“ = mieć (str. 5), „Doratei“ = Doroty (str. 16).

Dr. St. Zdziarski.

SZTUKA. *L. Libonis. „Styl w sztuce czystej i stosowanej“. Objaśnienia i rysunki. Warszawa. Jan Fiszer.* Wzbudzone w ostatniem dziesięcioleciu poczucie stylowości czyli rozszerzone na szerokie warstwy zamiłowanie w rzeczach, których formy są wyrazem jakichś potrzeb różnych miejsc i czasów, wywołuje obecnie

coraz to więcej wydawnictw, które w formie popularnej i poglądowej zaznajamiają laików z charakterystycznemi cechami rozmaitych stylów. Do takich wydawnictw należy także wymienione w tytule. Trzy wyszłe dotychczas zeszyty tego wydawnictwa zawierają w sobie trzy style: gotycki, empire i japoński. Każdy zeszyt składa się z dwu części: objaśnień i kilkunastu rysunkowych kartonów. Objaśnienia rozpoczynają się treściwym wstępem historycznym o pochodzeniu stylu, a potem następują jego odmiany, traktowane już o tyle szczegółowiej, że autor opisuje w nich składowe części przedmiotów wykonanych w tym stylu; a więc w budowlach gotyckich kolumny, okna, trybuny, drzwi, wieże etc. Podobnie jest potem i z kartonami. Pierwsze z nich zawierają ryciny najwybitniejszych budowli przeznaczonych do rozmaitych celów: kościoła, zamku, domu mieszkalnego a następnie szczegóły architektoniczne i zdobnicze. Po tem następują wnętrza kościołów i mieszkań, wraz ze szczegółami dekoracji i umeblowania aż do takich drobnych rzeczy jak ozdoby książek, inicjały i t. p. W zeszycie obejmującym styl cesarstwa (empire) ogranicza się to wszystko na wnętrzach, w których jedynie ten styl się ukazał i wykształcił. Widzimy więc dekoracje ścian, supraporty, fryzy, drzwi, meble, listwy, przedmioty takie, jak puhary, świeczniki etc. Najobficiej stosunkowo przedstawia się styl japoński jako najbardziej odrębny i ten który w zdobnictwie współczesnem t. zw. secesji tak ważną odegrał rolę. W objaśnieniach zeszyt ten oprócz historji obejmuje architekturę, malarstwo, rzeźbę i ceramikę japońską. Na kartonach wykonanych wedle rysunków samych Japończyków oglądać można dom japoński osobno stojący, potem widoki na grupy domostw. Potem następują ozdoby świątyń, urny, parawany, maski, suknie wzorzyste i rodzaje kostjumów, malowidła ścienne, broń ozdobna, karty szkiców i wazony a w końcu inkrustacje z kości słoniowej.

Wszystkie te rzeczy wykonane ze specyficznie japońską dekoracyjnością są nadzwyczajnie subtelne w rysunku o tyle, o ile charakter jakiegoś przedmiotu i jego ruch da się samą linją wyrazić. U nas przed japońszczyzną takie ruchy zwierząt i ludzi, jakie podziwiać można np. w szkicach Hokusaja, znano chyba tylko z momentalnych zdjęć fotograficznych. *St. W.*

Obraz Grabowskiego z roku 1874 wystawiono obecnie na wystawie sklepowej p. Pieleckiego. Wyobraża on Ahasvera, żyda wiecznego tułacza, gnanego przez los po świecie wiecznie bez odpoczynku. Malarz przedstawił go, jako starca o wysoko sklepionem czole, dużych ponurych oczach, orlim nosie i kościstej twarzy okolonej długim siwym zarostem.

Smaganie losu wyrażone jest w wichrze, który dmąc z tyłu popycha starca wciąż naprzód i naprzód. Działanie jego doskonale uwidocznionem jest w ruchu włosów i brody, zwiewanych naprzód oraz szat z jakiejś twardej materji szarpanych w tym samym kierunku po bokach chudego ciała i ponad głową nieszczęśliwego starca, starającego się je gwałtem utrzymać.

Całość bardzo dobrze rysowana czyni przejmujące wrażenie.

NOTATKI. *Dzieci anormalne i upośledzone.* Jeden z członków senatu francuskiego Paweł Strauss, wystąpił niedawno w obronie upośledzonych i opóźnionych w rozwoju dzieci, względnie z krytyką dotychczasowego ich sposobu wychowania. Według klasyfikacji Bournewille'a, naczelnego lekarza szpitala Bicètre, dzieci takie sklasyfikować się dadzą jako idjoci bezwzględni i z pewnymi odcieniami pojętności, tępe w ścisłem tego słowa znaczeniu i matołki, nakoniec nerwowe i opóźnione w rozwoju. Zaniedbanie odpowiedniego wychowania tych dzieci, mści się potem w straszliwy sposób na społeczeństwie, w formie przepełnienia więzień i wzrostu cyfry zbrodniarzy, włóczęgów i t. p.

Dr. Rubinowicz lekarz szpitala Salpetrière, a zarazem członek Unji Francuskiej dla opieki nad nieletnimi zbadał w ostatnim roku 207 dzieci moralnie zaniedbanych, należących do 127 rodzin. Po drobiazgowem wniknięciu w warunki dotychczasowego życia tych nieszczęśliwych okazało się, że było w ich liczbie 60 skrofulicznych, 23 z charakterystycznemi cechami dziedzicznego przymiotu, 17 dotkniętych cierpieniami wzroku, reszta mniej więcej podlegała różnej formy chorobom systemu nerwowego. Jednem słowem cała gama patologiczna.

Ze stanowiska psychicznego znalazł brak równowagi umysłowej i skłonności występne u 60, niedołęstwo umysłowe zdecydowane u 30 osobników, kleptomanją dotkniętych okazało się 11, manją włóczęgowską 10.

Obecnie związek międzynarodowy, zajmujący się badaniem i reformą zakładów dobroczynnych, domaga się zakładania szkół nowego typu, które nazywa *medico-mentales*, szkół przeznaczonych dla dzieci anormalnych, opóźnionych w rozwoju umysłowym, idjotów, histerycznych, epileptyków, skrofulicznych, tuberkulicznych, gdzieby te wszystkie choroby traktowane były równomiernie z wychowaniem i dostępnem dla każdego poszczególnego indywiduum ukształceniem umysłu.

Szkoły takie istnieją już w Niemczech, gdzie je posiada 30 miast w formie t. zw. „Hilfsschulen“, a nadto w Szwajcarji, Anglji, Belgji, Holandji, Włoszech, Danji, Norwegji, Stanach Zjednoczonych i Japonji.

Pracownia psychologji doświadczalnej w Krakowie. Z początkiem bieżącego roku szkolnego utworzoną zotała przy uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie pracownia psychologji doświadczalnej pod kierunkiem dra. Heinricha. Z powodu nieznacznej dotacji i bardzo skromnego instrumentarjum, na początek korzystać mogą z pracowni tylko pracownicy samodzielni. Jest jednak nadzieja, że zasoby pracowni zwiększą się niezadługo o tyle, iż możliwem będzie utworzenie kursu ćwiczeń systematycznych dla początkujących.

Zabytki przeszłości. W miasteczku Chomsku, w pow. kobryńskim (gub. grodzieńska) wyciągnięto z rzeki Jasiołdy działo z miedzi, ważące 15 pudów (pud = 40 funtom), z napisem łacińskim: „Zygmunt III, z Bożej łaski król polski, wielki książę litewski, 1631“. Działo ma być odesłane do petersburskiego arsenału.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.